

## ROZDZIAŁ 2

Szałwaranc Howanes, zawzięcie mieszając widelcem żółtko jajka, ubił w bujną pianę kogel-mogel. Każdego ranka, niezależnie od pory roku, okoliczności i nawet stanu zdrowia, na śniadanie spożywał nieodmiennie ten ulubiony przysmak, a potem parzył sobie mocną herbatę z tymiankiem, skręcał papierosa i z lubością wypalał go, obserwując, jak nad masywnym kubkiem unosi się aromatyczna, gorąca para.

Papier na skręty trzeba było oszczędzać. Wcześniej tak nie bywało – czego, jak czego, ale głupkowatej prasy było w dolinie pod dostatkiem. Poczтовая furgonetka, głośno prychając silnikiem, pięć razy w tygodniu wspinała się na zbocze Manisz-karu, żeby dostarczyć całe stosy mocno pachnących drukarską farbą gazet. Howanes rzetelnie przeglądał każdą stronę. Wszystkie tytuły, jak jeden mąż, były hałaśliwe, a treść – pusta, co umacniało go w przekonaniu, że wszelkie słowo pisane w porównaniu z wypowiedzianym to blaga.

– Lepiej sto razy pomyśleć, a później jeden raz powiedzieć, niż bezmyślnie nagłaszać wszelką bzdurę – marudził Howanes, z irytacją przerzucając strony gazet.

– A może oni jednak sto razy pomyśleli, zanim wydrukowali? – oponowała Jasaman.

– Gdyby sto razy myśleli nad każdym słowem, to gazety wychodziłyby w najlepszym wypadku raz na miesiąc. Czy można w ogóle w ciągu jednego dnia wymyślić tyle stron mądrego?

– Nie da rady.

– O tym właśnie mówię!

Przy czym pustota gazetowych artykułów nie rzutowała na walory smakowe tytoniu, dlatego Howanes wciąż regularnie prenumerował prasę. Niestety, wraz z początkiem wojny pocztowa furgonetka coraz rzadziej wspinała

się z boczem Manisz-karu, a potem w ogóle przestała dojeżdżać – dolinę trapiły wielkie problemy z dostawami paliwa, więc oszczędzano je na najważniejsze i najpilniejsze potrzeby.

Wraz z ustaniem pocztowych dostaw zaczęło brakować papieru. Palacze kombinowali na różne sposoby. Na początek w ruch poszły stare gazety, potem – zniszczone książki, które doprowadzona do rozpaczy Sewojanc Anatolija pewnego dnia zwałała na kupę pod płotem biblioteki. Staruszkowie bez słowa pozbiali zapleśniałe, cuchnące wilgocią i ponurym milczeniem tomy Szekspira, Czechowa, Dostojewskiego, Faulknera, Balzaka. Z grubych opraw książek porobili podstawki pod gorące naczynia, a zniszczone kartki przeznaczyli na rozpałkę i inne potrzeby w gospodarstwie. Skręty z tego papieru były gorzkie, kopciły i ciągle gasły. Szałwaranc Howanes mrużył oczy i złorzeczył, wytrwale przypalając skręta od tłącej się podpałki, którą musiał za każdym razem, parząc palce, wyciągać z pieca – zapalek we wsi też brakowało, dlatego używano ich bardzo oszczędnie.

Wojna, która przez osiem nieznośnie długich lat zbierała po świecie plony w postaci niespokojnych dusz, pewnego dnia jakby się zachłysnęła – i odeszła, skowycząc, kulejąc i liżąc skrwawione łapy. Paliwa, jak wcześniej, brakowało, ale życie powoli zaczynało się układać. Choć nie bez trudu, jednak wracało na swoje tory. Tylko Maranu, nie wiedzieć czemu, te korzystne zmiany nie objęły – nikt już nie pamiętał o oddalonej górskiej wsi i nie zanosilo się, żeby ktokolwiek sobie przypominał. Jedynym pojazdem, który przyjeżdżał na szczyt Manisz-karu była karetka pogotowia, ale żeby ją wezwać, należało wysłać z poczty pilny telegram, bo innej łączności ze światem zewnętrznym Maran nie posiadał. Widocznie w dolinie dawno już machnęli ręką na garstkę upartych starców, którzy swego czasu odmówili zejścia na niziny.

W kwestii papieru pomagał teraz listonosz Mamikon. Raz na dwa tygodnie (lub częściej, jeśli przyszedł jakiś list, ale listy zdarzały się bardzo rzadko) przynosił w swojej torbie stosy niepotrzebnych nikomu ulotek reklamowych, którymi zarzucona była dolina, i zostawiał je na poczcie. Telegrafistka Satenik dzieliła ulotki na dwadzieścia trzy równe części – zgodnie z liczbą dymów we wsi – i wykladała na ladzie, przy okienku. Do wieczora wszystko było pozabierane.

Zanim zawiął w ulotkę kolejną porcję tytoniu, Howanes z zainteresowaniem czytał każdą reklamę. Z lektury tej wyciągał wniosek, że mądrych myśli

wśród mieszkańców doliny nie przybywało, a wręcz przeciwnie. Bo, sądząc po treści ulotek, zajmowali się oni wyłącznie chodzeniem do wrózek – żeby zamówić miłość, brali kredyty w bankach – na zakup niepotrzebnego chłamu i strzygli domowe zwierzaki u drogich psich fryzjerów.

– Jak Pan Bóg chce kogoś pokarać, najpierw rozum mu odbiera. – Howanes kiwał głową, zaciągając się gorzkim, papierosowym dymem.

Tytoń uprawiał sam, na porzuconym kawałku ziemi, która niegdyś należała do jego brata. Brat dawno umarł, dzieci rozjechały się po świecie, a pozostawiony bez opieki ogród szybko zarósł chwastami i wiechliną. Więc Howanes postanowił zasadzić tam tytoń – i ziemi od tego lepiej, i uwolnił w ten sposób część swojego ogrodu pod uprawę ziemniaków, co ucieszyło Jasaman. Na suszarnię przerobił werandę – poprzybijał u obu jej końców gwoździe dachowe, zagiął ich główki tak, żeby wyszły z nich haczyki. W miarę dojrzewania zbierał liście tytoniu – obowiązkowo pod wieczór, żeby w roślinie było jak najmniej wilgoci – nabijał je za pomocą grubej igły na sznurek, naciągał na przenośne ramy i chował w ciemnym, narożnym pokoju, żeby odleżały. Potem wynosił ramy na słoneczną werandę, naciągał sznury z poślódkami liśćmi na haczyki i zostawiał tam do pełnego wyschnięcia.

Tytoń wychodził znakomity – aromatyczny, łagodny, nieco gorzkawy. W sobotę, gdy na wiejskim mejdanie otwierał się niewielki bazar, Howanes pakował do wiklinowego kosza suche liście tytoniu, zabierał ze sobą zestaw tryktraka<sup>11</sup> – i siedł handlować. Obok dostojnie podążała Jasaman – maleńka, zwinna, w szykownej chuście i jedwabnym, wyjściowym fartuchu. Fartuch ten zakładała wyłącznie w cerkiewne święta i w sobotę-niedzielę. W sobotę – na mejdan, w niedzielę – do kaplicy, na rzadkie, raz w miesiącu, jutrznie, które odprawiał dojeżdżający kapłan, ter<sup>12</sup> Azarija.

W soboty, o ile pozwalała pogoda, na mejdanie zbierali się wszyscy mieszkańcy wsi. Każdy przynosił swoje wyroby – sezonowe warzywa-owoce-ziele-  
ninę, ser, masło, twaróg i śmietanę, suszone mięso w przyprawach, szynkę, domowe pieczywo. Rzadko kiedy posługiwano się tu pieniędzmi, preferowano wymianę towar za towar. Za dziesięć kurzych jaj można było dostać nóż,

11 Tryktrak – niewielka gra planszowa.

12 Ter [orm.] – ojciec (w języku kościelnym), duchowny.